

Niemiec trafił w polskie ręce

MUZYKA | Wreszcie i my mamy odwagę zmierzyć się, choć z różnym skutkiem, z dramatami Richarda Wagnera.

JACEK MARCZYŃSKI

To było dziesięć dni niepodobnych do innych w polskim życiu muzycznym. W tak krótkim czasie odbyła się w Operze Krakowskiej pierwsza w dziejach tego miasta premiera dramatu Richarda Wagnera (wybrano „Tannhäusera”), a warszawska publiczność mogła poznać dwie interpretacje najwspanialszej w dziejach muzycznej historii miłosnej – „Tristana i Izoldy” – w Filharmonii Narodowej i w Operze Narodowej.

Likwidujemy w ten sposób istotną lukę w znajomości światowego dziedzictwa. Można Wagnera nie lubić, ale należy poznać. Jego muzyka przestała już być obciążona bagażem politycznych konotacji, które sprawiły, że w PRL, na Ziemiach Odzyskanych, nie wolno było inscenizować Niemca z Bayreuth. Odium ciążyło na nim nawet po transformacji: gdy w 2001 r. Opera Śląska wystawiła „Tannhäusera”, zaśpiewano go po polsku.

Orkiestry górą

Czas podejrzliwego stosunku do Wagnera mamy chyba za sobą i teraz, co ważne, sami próbujemy się z nim zmierzyć. A we wszystkich czerwcowych wydarzeniach zaskakująco wysoki poziom zaprezentowały polskie orkiestry.

W Filharmonii Narodowej Jacek Kaspszyk dał wręcz autorską wersję „Tristana i Izoldy”, przemyślaną od początkowego wstępu, zagrane w tempie spowolnionym do granic możliwości. Inna była interpretacja Stefana Soltesza,

jej atutem była precyzja oraz soczyste brzmienie orkiestry Opery Narodowej, która stała się współkreatorem dramaturgii spektaklu. Ten zespół jeszcze kilka lat temu nie byłby w stanie się zmierzyć z tak skomplikowaną partyturą.

Dobrze zaprezentowała się w „Tannhäuserze” orkiestra Opery Krakowskiej pod wodzą Tomasza Tokarczyka. Kraków ambitnie postanowił zrealizować premierę wyłącznie własnymi siłami. Cała obsada starannie przygotowała swoje partie od strony wokalne. Zabrakło tylko jednego: śpiewania ze zrozumieniem.

Do dramatu Wagnera niezbędna jest bowiem pomoc korepetytora językowego. Żaden inny kompozytor nie przywiązywał równie wielkiej wagi do brzmieniowej precyzji słowa. Jeśli się o tym zapomina, efekt jest jak w przypadku Tomasza Kuka. Jako Tannhäuser przez wszystkie akty prezentował tę samą skalę emocji.

Znacznie więcej niuansów było w kreacji Wioletty Chodowicz (Elżbieta). To zaś, jak mógłby brzmieć Wagner, pokazał Andrzej Lampert w epizodycznej partii Waltera. Jego krótkie solo w II akcie wprowadziło zupełnie inną temperaturę do spektaklu.

Krajowymi siłami nie da się natomiast zaśpiewać „Tristana i Izoldy”. Jedyne Polak zdolny podjąć się tego zadania, Tomasz Konieczny, został zaangażowany przez Filharmonię Narodową i jako Kurwenal dał z Michelle Breedt (Brangena) przykład wagnerowskiej interpretacji z wycuciem każdej frazy. Z odtwórców tytułowych ról: Amerykanki Jennifer Alison i Szweda Michaela Weinusa, lepsze wrażenie wywarł

tenor o ładnym, naturalnym brzmieniu głosu.

Kłopoty z Tristanem

Nie jest łatwo znaleźć w świecie świetną Izoldę, jeszcze trudniej o Tristana, a jeśli ma się na to, jak w przypadku Opery Narodowej, kilka miesięcy, zadanie staje się wręcz niewykonalne. Pozyskany Jay Hunter Morris to raczej tenor charakterystyczny, nie zaś bohaterski. Braki starał się niwelować interpretacją, ale w pełnym namiętnych wyznań i najdłuższym w dziejach duecie miłosnym z Izoldą nie na wiele się to zdało. Znacznie lepsze wrażenie wywarła Melanie Diener, bo to śpiewaczka o dużej kulturze wokalne.

Krajowi byli, co ważne, realizatorzy obu premier, którzy pokusili się o własne odczytanie dramatów Wagnera. Laco Adamik stonował w „Tannhäuserze” wątek religijny, ze scenografką Barbarą Kędzierską wykreował opowieść o zderzeniu antycznego piękna ze światem wystawnym i efektownym, ale pustym i zimnym. Uniknął wszakże jednoznacznej odpowiedzi, który z nich jest bardziej wartościowy.

Warszawski „Tristan i Izolda” przyjechał z Baden-Baden, bo to produkcja międzynarodowa. Mariusz Treliński poczynił wszakże sporo zmian, które nadały akcji bardziej zwarty charakter, konsekwentnie czyniąc z tego dramatu podróż bohaterów ku miłości i śmierci. Wzmocniła ten efekt choćby zmiana scenarii ostatniej sceny II aktu. Znacznie ciekawsza była też reżyseria światła, a odgrywa ogromną rolę. Noc, w której



♦ Antyczny świat bogini Wenus w „Tannhäuserze” w Operze Krakowskiej



♦ Melanie Diener i Jay Hunter Morris jako Izolda i Tristan w spektaklu Opery Narodowej

jedynie mogła rozkwitać miłość kochanków, zyskała w ten sposób mnóstwo odcieni.

Spektakl ma też nowy finał z wojskowym pogrzebem bohatera Tristana niczym z amerykańskich filmów. Ryzykowny to wszakże pomysł, bo niszczy nastrój konsekwentnie budowany przez trzy akty.

W Polsce ten „Tristan i Izolda” wywoła skrajne opinie, zresztą teraz modne jest narzekanie na Mariusza Trelińskiego. Inscenizacja od po-

czątku zaś powstawała myślą o amerykańskiej widowni, bo we wrześniu zainauguruje sezon w nowojorskiej Metropolitan. A dyrektorowi teatru bardzo się podoba.

– Byłem pod ogromnym wrażeniem wyobraźni Mariusza Trelińskiego już w Baden-Baden – powiedział mi po warszawskiej premierze dyr. Peter Gelb. – Jestem przekonany, że spektakl odniesie sukces w Nowym Jorku, a jeśli chodzi o konkretne pomysły

reżyserskie, będziemy jeszcze nad nimi pracować.

Polski „Tristan i Izolda” w Nowym Jorku to zupełnie nowa jakość w naszych kontaktach z Wagnerem. A w kraju Teatr Wielki w Poznaniu i Teatr Wielki w Łodzi przymierzają się do pierwszej po II wojnie premiery „Śpiewaków norymberskich”. ☞

 Więcej zdjęć ze spektakli wagnerowskich

rp.pl/kultura